

Pociąg do poznania

Pożar wybuchnie na prowincji, pośród tej większości zapomnianej przez mniejszość stołeczną



Pożar wybuchnie na prowincji, pośród tej większości zapomnianej przez mniejszość stołeczną

Na peronie staliśmy wszyscy daleko od siebie, choć równie zatruci trucizną ucieczki. Staliśmy ciężcy jak młyńskie kamienie. Podrygiwanie w rytm nie wchodziło w grę, a przecież było tak zimno. Jesteśmy zmęczeni, choć tydzień był dopiero przed nami. Wyssani do nitki pracą i strapieniami. Niedziela. Kielce. -6 C, cholernie wilgotno.

Czekamy na pociąg relacji Kraków-Warszawa. Cisza. Wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym stał na peronie w Pizie albo Florencji? Kontredansy śpiewnych plotek i komentarzy. Pogawędki komunalnego sprzątacza z biznesmenem w stalowym garniturze o wczorajszym *calcio*. Tam dalej na ławce rozbrydżowana horda staruszków podskakuje w takt „bez atu”. Młodzi, nażelowani, różnej maści Francesci czy Pierrluigi gapią się na krągłe Marie i Luizy, gwizdząc arię toreadora z Bizeta. Tak, poczułem jak trucizna ucieczki krąży w moich żyłach. Chwilowo odsapnąłem. Tylko tak można sobie poradzić z polipem losu. Zabieg eskapistyczny jest równie skuteczny, co niebezpieczny: daje krótką ulgę, ale i uzależnia. Wybudził mnie świst wjeżdżającego na peron pociągu. Gęsta borowina ludzka nagle się ożywiła i ustawiła w ogonek do drzwi. Tu i ówdzie było słychać dźwięki słów wyrzuconych z zakatarzonych i podpitych gardzieli. Popychaliśmy się, zgniataliśmy jak plastelinę, tak od dziesiątków lat bez przyczyny, bo tak nas nauczono, bo licho wie czy nie odjedzie, komu ufać, komu, skoro nikt nie dotrzymuje słowa. Niegdyś nauczano nas, by przywiązywać wagę do słów, a nie do sensu. Dziś wielu uczenie dysertuje nad wieloznacznością „dróg przejezdnych” czy „przejściowych nieprawidłowości na kolei”. Słowo wytrych ucina rozważania. Kapitulacja. Niech to szlag.

Kieruję się do pierwszej klasy. Dziesiątki, dwudziestki, trzydziestki, jest! „Miejsce siedzące 44 przy oknie”. Mam towarzysza. Starszawy pan, z profilu podobny do Kazimierza Dejny. Gorąco jak diabli, zakreśliło mi się w głowie, a facet miał na sobie kurtkę „pociągówkę” i mocno zawiązany szalik. Zagadałem: „może zostawię na chwilę otwarte, bo w przedziale zaduch taki, że nie idzie wytrzymać?”. Przebudziłem go z drzemki, pewnie i on podróżował po barwniejszych pejzażach: „Pan nie zna trasy, widzę pana tutaj pierwszy raz”. „W czym rzecz?”. „Pan nie

wie, pan nie jeździ, a ja wiem. Na wysokości Skarżyska wyłączają ogrzewanie. Niech się jeszcze chwilę nagrzej. Pan zostawi zamknięte. Zobaczy pan, będzie jeszcze zimno”. Neutralny, płaski, encyklopedyczny. Nieżywy, a czuje skubany zimno i ciepło. Po 20 minutach zrobiły się tropiki. W głowie coś plątało i tumań. Z trupem już nie gadam. Wyszedłem na zewnątrz pogapić się na świetlane punkciki wsi kieleckiej. Wracam. Trupa nie było. Niewykluczone, że go sobie wyobraziłem. W Skarżysku weszła dziewczyna, tak na oko trzydziestoparoletnia. Krótkie blond włosy, końcówki pędzelków ciemniejsze, trochę toto frywolne, ale zdecydowanie w złym guście. Na twarzy wiele wyżłobionych bruzd. Od Skarżyska chyba dokładali do pieca. Trup-Dejna okłamał, mogłem się tego po nim spodziewać. Stoimy w Dęblinie: po kiego w Dęblinie? Przecież to nie po to drodze do Warszawy... No tak, „przejściowe problemy na kolei”. Kapitulacja. Mam przed oczami lowelasa w dobrze skrojonym garniturze od Kenzo, jak kłamie, że do pełni idylli w infrastrukturze już niedaleko, że najpierw trzeba się rozprawić z mordercami, cykając im zdjęcie, do pięciu stów za odbitkę, potem widzę bezradnego przedsiębiorcę, którego oszwabili przy A1, jak wyje i skomle jak pies, bo tamci „duzi” splajtowali, a on nie ma za co zapłacić podatków, dom ma pod hipotekę, za miesiąc, może za rok czy dwa będzie lżej, zobaczycie, musicie zaufać. A co ma piernik do wiatraka? Ano ma. Bardzo ma. Uf, oszaleć można było od tego gorąca.

Czy to już bzik czy bredzenie? Wściekły odkładam gazetę. Zaczęła ona, głosik miała milusi jak puszek do pudru. Podróżuje od siedemnastego roku życia. Najpierw trochę do Radomia, później do Warszawy, w końcu do Anglii, jak miliony małych Odyseuszów, którzy mieli nazbierać kapitał na M3 z lodówką i wrócić, a w dużej mierze zostali, zaświadczać o Europie bez granic, zaradności narodu, a jednocześnie o słabości państwa. Nasza Itaka ma w nosie, czy wrócą jej bohaterowie.

Itaka zimnych suk i niewiernych Penelop. Pamiętacie akcję rządowo-bilboardową o nazwie „Powroty”? Tak ze cztery lata temu? Napaćkali biało-czerwone boćki przylatujące do gniazda. Zapłacili wziętym dizajnerom krocie, żeby w kraju zrobić akcję dla boćków, które jeszcze nie odleciały... Pomyłone. W przedziale znowu rekordy bije kanikuła. Głowa mnie rozboleła.

Dziewczyna opowiadała o swoim nałogu eskapistycznym w detalach, bez skrępowania: „pan młody jak ja, to pan wie”. Zaczęło się jak u wielu „czystych”. Wiadomo, w Skarżysku roboty nie ma. Zbrojeniówka ledwo dyszy. Perspektyw brak. Ona kocha dzieci, więc zajmuje się nimi. Gdzie bądź. Szybko dowiedziałem się, że ma na imię Kasia i równie szybko zauważyłem, że z Kasią jest coś nie halo. Cały czas rozpruwała dziurę w dżinsach na wysokości kolana. Często brała do ręki moją gazetę i odkładała pod kątem prostym na przeciwległym siedzeniu. Kaśka musiała przeżyć coś monstrualnego, coś co człowieka wyzuwa z uczuć albo spycha w stronę szaleństwa. A było to tak: „Chłopaka miałam kiedyś. Pracowaliśmy w Anglii. Pamiętam, jak cieszyliśmy się z powrotów do Polski. Tamtym razem lecieliśmy na Wigilię. Zwykle przyjeżdżał po nas do Warszawy mój tato. Niespodziankę chcieliśmy zrobić. Chłopak zadzwonił po brata, żeby wyjechał po nas. Tak po prostu. Niespodzianka miała być, rodzice mieli nic nie wiedzieć. Wtedy wylądowaliśmy w Pyrzowicach. Ciemno było na tym lotnisku i zimno bardzo. Śniegu było dużo też. Paliliśmy w trójkę papierosy przed odjazdem. Pamiętam dobrze. Taką polewkę mieliśmy z tej niespodzianki, że huhu. Jedziemy. Znowu śmiechy i nagle błysk. Łup! Brata zabiło na miejscu, w imię ojca i syna i ducha świętego. Narzeczonemu (bo mnie przed wyjazdem o rękę prosił) zmiażdżyło nogi. Koniec - inwalida do końca życia. A ja nic nie pamiętam, po prostu dziurę mam totalną w głowie. Przebudziłam się w szpitalu, mózgu nie mam połowy, proszę pomacać tyle szwów było, o tutaj, czuje pan?”.

Później oczywiście Kaśkę wywalili z przedziału, bo miała bilet na drugą klasę. Tłumaczyła konduktorowi, że tam zimno jak w lodówce. Z biletu wynikało również, że Kaśka powinna jeździć z opiekunem. Bronilem jej. Ale gadaj z facetem, który ma jeszcze mniej mózgu niż Kaśka. Kapitulacja. Mówi do mnie później, „wie pan, ja nie ze złości, ale będzie kontrola i wie pan jak jest, ja płacę”.

Rozejrzyjcie się dookoła. A zrozumiecie szybko, że główna oś sporu politycznego leży zupełnie gdzie indziej niż nam wmawiają. Daleko od markowanych kuksańców o marszałkinię takiej czy innej orientacji politycznej czy seksualnej. Pożar wybuchnie na prowincji, pośród tej większości zapomnianej przez mniejszość stołeczną, ale jakże heroicznej i prężnej, o niebo racjonalniejszej niż na Zachodzie, bo zaradnej, potrafiącej się dostosowywać do dynamicznej rzeczywistości pod każdą szerokością geograficzną. W końcu ktoś się porządnie wnerwi i odrzuci koncepcję przymusowych ucieczek. Trzeba pogardę do bliźniego nakręconą odgórnie momentami tak krępującą zastąpić prawdziwą solidarnością ze skrzywdzonymi i poniżonymi, którym odebrano instrument prawidłowego odbierania rzeczywistości. Główna oś sporu politycznego zawarta jest w pytaniach: ile jeszcze zniesiemy, aby w końcu zrozumieć? Kiedy odjedzie pociąg do poznania?

Niech w końcu przyjdzie oświecona wiosna.

Marcin Darmas